

VALENTIN MANDELSTRAMM.

## FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

7

— Nie, skoro mi mówisz, że Jerome Versigny został porwany przez Archibalda Graves!...

— Tak, on został porwany, ale ktoś przebrał się w jego ubranie, wziął jego laskę i teczkę czerwoną, z którą się nigdy nie rozłączał i jako bankier Versigny wszedł do biura i to w oczach jego woźnego, który się nie poznał na tej mistyfikacji! Ah! Przysiąc trzeba, że cała rzecz była świetnie obmyślana!

— Więc to tak było! A do dyabła!

— Widzę, że zaczynasz rozumieć.

— Więc sądzisz...

— Sądzę, że zrobiono to tylko dlatego, żeby się dostać do kasy Versigny'ego i zabrać dokument, o którym wiadomo, że tam się znajduje.

— Ah! Do dyabła, do dyabła! — kłął barczysty pan przez zaciśnięte zęby — Ktoby się był tego spodziewał? Ktoś nas podszedł w brzydki sposób. Pojmuję teraz twoje wzburzenie. Warto było pracować i narażać się na... rachunek sir Archibalda Graves. Ale ja w tem widzę tylko jedną rzecz dobrą dla nas.

— Teraz ja ciebie nie rozumiem.

— Zaraz, zaraz. Jeżeli policyja odkryje całą tę machinację, łatwo teraz nam będzie zrzucić z siebie wszystko na „króla dyamentowego“, to chyba jasne! My przynajmniej wyjdziemy z tej gmatwaniny cało.

— Jakim nędznym umysłem jesteś, mój kochany. Niema w tobie żadnej ambicji, żadnych wyższych dążeń! Cieszysz się z tego, że cię nie zamkną, jak małe dziecko! I to ci zupełnie wystarcza! Dlatego, że nas ktoś podszedł, chcesz porzucić sprawę całą! I nie szukasz sposobu na naprawienie złego?

— Bo go nie widzę.

— Nie pytasz się nawet, kto przebrał się za Versigny'ego i ukradł dokument.

— To prawda, że mi to na myśl w pierwszej chwili nie przyszło. Ty się domyślasz?

— Nie potrzebuję się domyślać, bo wiem z wszelką pewnością. To baron de Lambriere.

— Baron de Lambriere?

— Tak!

— Ależ on według wszelkiego prawdopodobieństwa przebywa jeszcze w Szwajcaryi. Miał dopiero powrócić jutro wieczorem.

— Mylisz się. Był w Londynie, gdzie porozumiał się z sir Archibaldem Graves. On to poprowadził rzecz całą i dobrze, jak wykazują rezultaty, podszedł szwagra i zabrał mu dokument.

— Ładna robota, niema co mówić! Dzielny człowiek z tego barona. Ale ja jeszcze dotąd nie widzę, co byśmy mogli za korzyść wyciągnąć dla siebie.

— Nie domyślasz się?

— Nie! Możliwy co prawda zabawić się w szantaż z Archibaldem Graves, ale to mi się nie uśmiecha.

— Jest coś o wiele lepszego. Ale mój Boże! Jak ci ciężko do myślenia. Czy przypuszczasz, że baron de Lambriere będzie tak naiwny i jak grzeczne, małe dziecko odda natychmiast skradziony dokument Archibaldowi Graves, nie stawiając mu warunków swoich? Pociż więc się narażał?

— To słuszne!

— A widzisz. Dokument zachowa, dopóki Archibald Graves nie opłaci go tak, jak on tego żąda. Taki targ potrwać może czas jakiś. I według mojego przekonania, podsuwa nam się sposobność doskonała. Włodzimierz Guzow już nie żyje. Jerome Versigny dzięki anglikowi nie jest w stanie nam szkodzić... Pozostaje więc tylko Lambriere, jako jedyny posiadacz tajemnicy...

— Przejmuję zupełnie myśli twoje.

— I teraz przyznajesz, że jeszcze jest tu coś do zrobienia?

— Oczywiście!

— Zaczynasz powracać do rozsądku. Czas był już wielki, mój kochany.

— Wyjaśnij mi do końca swój plan.

— Otóż trzeba bez zwłoki pośpieszyć za Lambrierem. Musisz to tak zaaranżować, żebyś nie wyszedł od niego bez dokumentu. Żadnych obietnic — rozumiesz?

— Rozumiem.

— Najlepiej nawet z nim nie mówić, bo szkoda tylko czasu.

— Muszę się dostać do jego mieszkania.

— Pomyślałam już o tem. Oto masz dwa klucze, którymi otworzysz wejście główne do jego mieszkania i wejście służby.

— Rozkład znam, bo już tam byłem.

— Właśnie i będziesz mógł skorzystać z tego małego, wywierconego przez ciebie otworu w ścianie. Pamiętaj, poradziłam ci to uczynić wówczas jeszcze na wszelki wypadek.

— Pamiętam!

— No dosyć już. Czas mi wracać. Sądzę, że to do jutra załatwione zostanie?

— Ma się rozumieć. Nie mam czasu na rozwleknięcie całej historii. Uwiadomię cię natychmiast.

— Tylko ostrożnie. Odchodzę. Bądź zdrow! Zostajesz tutaj?

— Nie, wyjdę trochę sił nabrać.

— Tylko ich nie przebież. Pamiętaj, że musisz mieć całą przytomność umysłu.

— No, no. Nie bój się. Idź już.

I tak, jak za pierwszym spotkaniem, barczysty pan przeczekał kilka minut po odejściu starej damy i wysunął się dyskretnie z Central Palace. Prosto udał się na Montmartre, wszedł do niepozornego, niskiego domku, gdzie zabawił z pół godziny. Kiedy wychodził stamtąd, niktby w nim nie poznał poważnego, modnie ubranego dżentelmena. Miał na sobie długą bluzę robotniczą, aksamitne, wyniszczone spodnie, kapelusz stary nasunięty na czoło i chustkę zawieszoną na szyi. Do czarnych wąsów jakie miał przedtem, dostosowana była niewielka broda tego samego koloru.

— A teraz do baru na pokrzepienie — szepnął z zadowoleniem. — Czeka mnie dziś porządna robota.

I poszedł w dół ulicy, garbiąc wysoką swoją postać i ciężko wciągając nogami, jak uczciwy robotnik powracający z całodziennej pracy do domu.

## Rejestr.

W ciągu pierwszej swojej rozmowy z Michaliną Versigny i panem Cambaux, Bernac między innemi oświadczył:

— Musimy postępować nadal w sposób systematyczny i pewny. Przypuszczenia, które wam wyłożyłem, dotyczące faktów, stauowią dopiero zarys, dosyć poważny, przynajmniej, ale w którym brak silnych podstaw i materyału. Aby otrzymać ten materyał i wynaleźć składniki, z których jest złożony, musimy badać szczegół po szczególe, badać życie pana Versigny, barona Gerarda de Lambriere i sir Archibalda Graves. Przyjacieli mój Clemson informować mnie będzie z Anglii, ale mam przecucie, że nie tam znajdziemy rozwiązanie zagadki...

I każdy w swoim kierunku wziął się do roboty.

Bernac uważał, że jego obecność jest konieczną w Paryżu i, aby nie narażać się na niepotrzebną stratę czasu, zawezwał Clemsona, aby przybył do niego celem omówienia dalszej akcji.

Clemson, odebrawszy wezwanie przyjaciela, wyruszył natychmiast do Francji.

Angielski detektyw miał wygląd spokojnego pomocnika handlowego. Był drobny, szczupły z małą, dziecinną twarzą i zdziwionymi zawsze oczami. Nosił niezmiernie klasyczne ubranie angielskie w duże kraty jasne.

Łagodny i budzący zaufanie wygląd jego był jednym z atutów, którym mógł doskonale operować. Głęboki psycholog i obserwator, umiał sobie zjednać ufność i sympatię każdego, z którym rozmawiał.

Zamordowanie sir Archibalda Graves, milionera angielskiego, wywołało niemało rozgłosu po całym kraju. Policyja angielska zaalarmowana tą wiadomością rozesłała detektywów swoich najzdolniejszych na wszystkie strony, dla zbadania sprawy. Clemson, przyjaciel Bernaca, znał ją dotąd tylko ze strony oficjalnej. Rozmowa zaś z Bernacem odkryła mu rzeczy zupełnie nieoczekiwane.

Clemson, obdarzony silnym zmysłem asymilacyjnym, szybko zoryentował się, przejął przekonania Bernaca i odjechał, wkrótce obiecując przesłać jak najszybciej interesujące wiadomości.

I odtąd Bernac był pewnym, że w otoczeniu „Trustu dyamentowego“ i jego prezydenta, się docho- dzeń z ręcznie zaciągnięta została i śledztwo przeprowadzone zostanie z najwyższą ścisłością.

Cambaux zaś, któremu Bernac powierzył życie zmarłego barona de Lambriere, zajął się energicznie zliczaniem najdrobniejszych szczegółów jego przeszłości i istnieniem bilansu obecnego stanu jego majątkowego, jakoteż wszystkich jego operacji finansowych.

Zachowując sobie jednak główny kierunek tych poszukiwań i wszystkich ruchów szefa policyi, Bernac zarezerwował dla siebie i Michaliny to wszystko, co tyczyło się zaginionego bankiera.

Śledztwo ich skoncentrowało się w równej mierze na banku Versigny'ego przy ulicy Pillet-Vill, jakoteż i do ostatniej wycieczki do lasku bułoińskiego. Cała służba, personal biurowy i osoby interesowane

w sprawach Jeroma Versigny'ego zostały dokładnie zbadane i śledzone.

A ponieważ Bernac twierdził, że w podobnych wypadkach, jeżeli chodzi o wygraną zupełną, stanowisko i stopień zażyłości osób otaczających bankiera w grę nie powinny wchodzić, nikogo nie dopuszczono do tych poszukiwań — ani więc pana De-long ani miss Hopkins.

Raz nawet Bernac, będąc u Michaliny, odezwał się żartobliwie:

— Właściwie i panią, panno Michalino, powinienem wykluczyć od mojego sekretu i pracować sam, na własną rękę. Postępuję nie metodycznie i nie według obranego rozumem kierunku. Ale w tym wypadku kieruje mną żywa sympatya, którą dla pani odczułem.

Michalina ze zdziwieniem spojrzała na młodego literata i nagle bez słowa podeszła do niego i uści- snęła gorąco jego rękę.

Przymierze więc między nimi było od tej chwili zupełnie zawarte. Lecz ten uścisk ręki Michaliny dziwnie podziałał na Bernaca. Twarz jego przybrała wyraz nadzwyczajnej powagi i skupienia. Chcąc zamaskować wzruszenie, roześmiał się głośno, lecz śmiech ten nie zabrzmiał szczerze. Wówczas młoda dziewczyna raz jeszcze badawczem obrzuciła go spojrzeniem. Czy ich na chwilę zbiegły się ze sobą i nagły rumieniec wybiegł na bladą twarz Michaliny; nie mogąc ukryć silnego zmieszania, szybko wybiegła z pokoju.

Kiedy po jakimś czasie powróciła, twarz jej jak zawsze spokojna była i poważna. Tylko silniejszy blask oczu zdradzać mógł, że dusza jej czemś wstrząśnięta została.

— Panie Bernac — oświadczyła swobodnie, wchodząc do gabinetu, gdzie zwykle pracowali razem — najwyższy czas, abyśmy się wzięli do roboty.

Bernac, który dotąd siedział zamyślony, w bez- czynnym jakimś odrętwieniu, na dźwięk jej spo- kojnego głosu oprzytomniał. Zerwał się szybko i od- parł, uśmiechając się z przymusem:

— Zdaje mi się, że będę zmuszony zawsze po- dziwiać zimną krew pani, panno Michalino. Zawsty- dziłaby nią pani niejednego najsilniejszego czło- wieka.

— Przecenia mnie pan! — odparła młoda dziew- czyna — Pan wie, jak kocham mojego ojca. Ciągle myśl o nim dodaje mi siły i przytomności umysłu. Co mamy dzisiaj do roboty?

— Musimy przejrzeć rejestr, w którym woźny zapisywał gości zgłaszających się do ojca pani! — odpowiedział Bernac już naturalnym głosem — W tej chwili go przyniosę.

Powrócił wkrótce i natychmiast oboje zasiedli przy stole, systematycznie przeglądając kartki du- żej księgi.

Rejestr był bardzo obszerny. Datował on z sze- ściu miesięcy i zawierał od dwóch tysięcy nazwisk różnych, przeważnie im nieznanych.

Pomimo trudności podobnego przedsięwzięcia, bo Bernac przypuszczał, że wiele z tych osób mogło się przedstawić pod fałszywymi nazwiskami, doko- nali systematycznego klasyfikowania, aby móc przy sposobności wykorzystać go.

Chcąc zachęcić młodą dziewczynę do tej nudnej i absorbującej czynności, Bernac tłumaczył jej:

— Musimy robić to wszystko, co jest w gra- nicach naszych możliwości i sił, wyczekiwać na spo- sobność pochwylenia choćby najdrobniejszego śladu, rozumie mnie pani.

— Widzi pan, że jestem gotowa na wszystko! — odparła Michalina.

— Oceniam to. Czas i przypadek mogą również nam być bardzo pomocne, tem bardziej, że jak mam prawo przypuszczać, tajemnica, którą pokryte jest zniknięcie pana Versigny, jest dosyć skomplikowa- nej natury. Niejedna osoba i niejedyn fakt, na po- zór błahy, są tu wmiészane. W tej chwili naprzy- kład przygotowujemy także nadejście tego przy- padku. A nasi przeciwnicy, którzy nie domyślają się naszej pracy i poszukiwań, napróżno będą się starać niszczyć ślady za sobą, zacierać okoliczności i oddalać świadków. Ich zabiegi będą spóźnione, bośmy je przewidzieli i stosownie wobec nich zabezpieczyli. Na tak przygotowany drobiazgowo teren walki nie mogą wejść zwycięzcami.

— Więc zwyciężymy ich, panie Bernac! — za- wołała gorąco Michalina — Zwyciężymy ich, nie- prawdaż?

— Musimy! — odparł poważnie Bernac, ze wzru- szeniem patrząc w jej rozpromienione oczy.

Kiedy w dwie godziny później, po ukończonej robocie, Bernac pożegnany przez młodą dziewczynę, odchodził już, zatrzymał się we drzwiach i rzekł jeszcze: